

Recenzja pracy doktorskiej mgr Urszuli Frymus***Pisarstwo autobiograficzne Henryka Voglera***

Do pierwszego tomu *Pamiętnika* Henryk Grynberg włączył kilka listów do matki, w których dzielił się z nią swoją radością po kolejnych, bardzo pochlebnych recenzjach debiutanckiej książki *Ekipa Antygona*. Ale w ostatnim dniu sierpnia 1963 roku, nie kryjąc irytacji, napisał: „Dużo recenzji i wszystkie przychylne, a tu jakiś Henryk Vogler w „Życiu Literackim” pisze, że się naczytałem, że jestem Antygoną i Hamletem i że to „debiut na wielki temat” (czyli za wielki dla mnie). Informacje i cytaty tendencyjnie poprzekręcane. We „Współczesności” powiedziano mi, że on sam próbuje – bez powodzenia pisać na ten wielki temat. Dobrze, bo już myślałem, że to jakieś ukartowane świństwko”. Z tych wszystkich słów ważnych, choć przesiąkniętych naruszoną ambicją pisarską debiutującego Grynberga (wtedy też jeszcze „jakiegoś”), szczególnego znaczenia nabiera lekceważące określenie: „jakiś Vogler”. Było to napisane w roku 1963, a więc już po publikacji kilku książek Voglera: po zbiorze opowiadań *Ocalony z otchłani* (z pewnością tej książki dotyczą słowa o pisaniu bez powodzenia na „wielki temat”), po *Człowieku, który śnił*, po quasi-kryminalnej powieści *Nieohecni są winni*, wreszcie po zbiorze szkiców krytycznych *Z notatek przemytnika*. Ale to przecież nie wszystko. Bo wymienione publikacje nie pozostały bez echa; każda z nich doczekała co najmniej jednej recenzji, nie tylko w bliskim Voglerowi „Życiu Literackim” czy „Echu Krakowa”, ale także w „Twórczości”. Pisali o jego twórczości, zasadniczo pozytywnie, świetnie zapowiadający się wówczas krytycy Michał Głowiński, Tomasz Burek, ale także jeszcze jeden twórca „wielkiego tematu” – Stanisław Wygodzki. Mimo to Grynberg pisze: „jakiś Vogler”, jednoznacznie dowodząc, iż nie wie, kim jest krytyk i szuka informacji o nim w dwutygodniku. Czy to świadczy o ignorancji, kiepskim odczycaniu autora *Ekipy Antygony*, czy może jednak o hermetyczności świata twórców i krytyków? Jakkolwiek było wówczas, formuła Grynberga do dzisiaj pozostała aktualna. Do dzisiaj Vogler pozostał „jakimś”; zasadniczo znamy nazwisko, ale o twórczości wiele powiedzieć nie umiemy, nie możemy. Zresztą Autorka recenzowanej dysertacji doktorskiej, potwierdzając „jakimś” niejasny status pisarza w historii literatury polskiej, przyznaje się do zdziwienia brakiem nazwiska pisarza w

opracowaniach pisarzy PRL. Otóż z tej perspektywy podjęcie próby przypomnienia, wprowadzenia twórczości pisarza w krwioobieg historycznoliteracki w formie dysertacji doktorskiej z pewnością zasługuje na pochwałę.

Doktorantka stanęła więc przed koniecznością znalezienia odpowiedzi na kilka istotnych pytań: jakie jest miejsce i gdzie jest miejsce Voglera w literaturze polskiej. Czy na to miejsce zasłużył? Czy jest „już zapomniany”, czy tak naprawdę właściwie nie zaistniał nigdy? Czy brak jego nazwiska w opracowaniach jest poważnym niedopatrzeniem historyków literatury polskiej? Czy też naturalną konsekwencją mało oryginalnej twórczości? A jeżeli to nasze wspólne niedopatrzenie, to gdzie wpisać tę twórczość – czy do „wielkiego tematu” Holocaustu, czy do przebogatej literatury wspomnieniowej, czy może do literatury popularnej, zważywszy niemal powodzenie pozornego kryminału *Nieobecni są winni*? Gdy jednak uświadomimy sobie, iż ten „kryminał” jest w zasadzie powieścią społeczno-obyczajową, to trzeba by raczej zakwalifikować Voglera do nurtu „małej stabilizacji”? A może bardziej godna uwagi wyda się jego twórczość krytyczna? Takie pytania i wątpliwości towarzyszyły mi, gdy przystępowałem do lektury dysertacji doktorskiej Urszuli Frymus *Pisarstwo autobiograficzne Henryka Voglera*. Voglera – czyli właściwie kogo?

Praca Urszuli Frymus zbudowana została z pięciu dużych rozdziałów, odpowiadających, jak twierdzi Autorka, „etapom w życiu intelektualisty”. Każdy z nich oznacza próbę zmierzenia się twórcy z wielkimi problemami epoki (co Doktorantka interesująco sformułowała jako „Vogler wobec”), z którymi zmagali się polscy pisarze żydowskiego pochodzenia w totalitarnym „wilczym wieku”, by użyć określenia ich rosyjskiego współplemieńca – Osipa Mandelsztama. A więc: kolejno: syjonizm, akulturacja, Holocaust, komunizm, judaizm. Każdy rozdział, mocno rozbudowany, składa się z kilku podrozdziałów, stanowiących zwykle jakiś rodzaj fundamentu (bądź to historycznego, bądź politycznego, bądź zahaczającego o historię idei), a więc rzetelnego kontekstu, do interpretacji kolejnych utworów Voglera. W mniejszym lub większym zakresie wzięła Autorka pod uwagę wszystkie dzieła pisarza (w najmniejszym stopniu teksty sceniczne), aczkolwiek, trzeba przyznać, że nie jest to dorobek, mimo trzypomowego *opus vitae*, *Autoportretu z pamięci*, objętościowo bardzo obszerny. I niemal bezwyjątkowo w każdym rozdziale pojawiają się refleksje nie tyle związane z tym dziełem, ile odwołujące się, by tak powiedzieć, do jego „autorytetu”. Nawiązania do *Autoportretu* wydają się oczywiste, zważywszy główny temat badawczy – autobiograficzny charakter twórczości. Ale sposób ich wykorzystania wywołuje pytanie *stricte* metodologiczne – czy można tak w pełni zaufać

deklaracjom pisarza o zrekonstruowaniu „stanu umysłu” sprzed czterdziestu lat, pomijając naciski terażniejszości, polityki, cenzury, w tym także cenzury wewnętrznej. I tej samorefleksji chyba trochę zabrakło Doktorantce. A przecież już zestawienie pierwszego tomu *Autoportretu* pisanego w epoce gierkowskiej z *Wyznaniem mojżeszowym* powstałym już po upadku komunizmu wyraźnie unaocznia gry Voglera z cenzorem, przede wszystkim wewnętrznym. Bo jako szef Wydawnictwa Literackiego, i to w epoce „okołodwilżowej”, wiedział, jak pisać i co pisać, żeby być wydanym. Autorka konfrontuje bardzo często wypowiedzi Voglera z opiniami innych pamiętnikarzy, często z historykami literatury, ale chyba zbyt słabo dystansuje się od wersji pisarza, ma do niej nadto aprobatywny stosunek. Zbyt często poddaje się jego trudno akceptowalnej, jeśli nie irytującej wręcz „aksjologii”. Nie chodzi o to, by wersję pisarza odrzucić, ważne wszakże, by ją skomentować, wskazać przyczyny takiego właśnie ujęcia rzeczywistości.

Już w pierwszym akapicie pracy czytamy, że Vogler „rozpoczął polonistykę we Lwowie, jednak wojna przeszkodziła mu w kontynuacji studiów”. Trudno wobec takiego zdania przejść spokojnie, bo nie świadczy ono o „rewizjonizmie” historycznym, ile o przyjęciu peerelowskiej wersji historii Polski. Bo jeśli nawet wojna z 1941 roku mu „przeszkodziła”, to trzeba też napisać, że „wcześniejsza”, z roku 1939, takie studia mu umożliwiła. Studiował przecież w mieście znajdującym się pod okupacją, na ziemiach zajętych przez jednego z dwóch wrześniowych najeźdźców. I nie wolno o tym zapominać. Jeśli nawet z ówczesnej perspektywy Voglera Związek Sowiecki nie był okupantem, to był nim według wszelkich, niesowieckich praw międzynarodowych. I to powinno się w pracy znaleźć. Lwów pod okupacją sowiecką zginął w ogóle z oczu Doktorantki. Nie napisał o tym Vogler, ale badacz nie może tego faktu pominąć, zwłaszcza że wielu polskich pisarzy (Obertyńska, Wat, Herling-Grudziński, Kowalewski) „sportretowało” Lwów z czasów okupacji sowieckiej. Dla większości jego mieszkańców, ale i przebywających tam licznych uciekinierów (przede wszystkim żydowskich), było to miasto strachu, prowokacji, aresztowań, początku transportu deportacyjnego na Syberię bądź do Kazachstanu. Vogler o tym nie pisał, bo nie mógł bądź nie chciał, ale badacz jego twórczości ma obowiązek ten fakt zauważyć.

Jako kontekst interpretacyjny pisarstwa autobiograficznego wykorzystuje Doktorantka także dokumenty, weryfikując w jakiś sposób wydarzenia przywołane w *Autoportrecie* z zeznaniami w Gross-Rosen. Jest to o tyle uzasadnione, że przesłuchania odbywały się niemal równoległe z pisaniem wspomnień. Wykorzystuje więc Autorka jakby dwa rodzaje

świadczenia – sfabularyzowane narracyjne oraz sądowe. W protokołach z przesłuchań Vogler przyznaje się jednak do niepamięci, która mu, o dziwo, nie dokuczała w czasie pisania *Autoportretu*. Ten problem fikcjonalizacji, jeśli nie beletryzacji wręcz tematu obozowego zwłaszcza w interpretacji pisarstwa autobiograficznego, wydaje się ważny, ale z niezrozumiałych powodów pominięty przez Autorkę. Natomiast pozbawiony komentarza opis dokumentów z IPN, jeśli już został w pracy przywołany, powinien chyba znaleźć się w rozdziale na temat stosunku pisarza do komunizmu, zwłaszcza że poświęcony został temu problemowi cały rozdział. I w tym miejscu uzasadniona byłaby refleksja nad granicami „obywatelskiej” lojalności pisarza wobec państwa komunistycznego. Znacznie ważniejsza od pytania, czy Vogler podpisał deklarację współpracy z Bezpieką, czy był TW. Ale w tym miejscu pasja badawcza ucicha. Doktorantka nie poddaje się pokusie „filologii śledczej”. Nie jestem i nie chcę być inkwizytorem Voglera, próbuję raczej zrozumieć intencje Autorki, bo nie pojmuję, czemu służy w pracy nad pisarstwem półstronicowe, pozbawione komentarza przytoczenie dokumentów IPN. Szanuję jej postawę dyskretnego zrozumienia, która zdaje się sugerować, że Vogler był „seksot” („siekretny sotrudnik”), ale oznaczało to przecież praktyczny współdział w utrzymaniu systemu.

Problem ten, przywołany w istocie tylko na zasadzie dygresji, kieruje wszakże na zagadnienie o wiele ważniejsze, na kwestię rozwiązań kompozycyjnych przyjętych w dysertacji. Wywołują one istotne wątpliwości, które, co może dziwić, prowokuje sama Autorka. Deklaruje ona bowiem, iż założeniem jej pracy jest odzwierciedlenie porządku biograficznego Voglera. Trudno wobec tego uniknąć pytania, dlaczego pierwszy rozdział pracy poświęcony został stosunkowi do syjonizmu, potraktowanemu zresztą dość pobieżnie (bo ukrytemu za innymi „ideami politycznymi”), jakby spośród owych wielkich dylematów z tym właśnie Vogler musiał zmierzyć jako pierwszym. Kwestia tzw. syjonizmu, bo chyba jego rozumienie przez Doktorantkę często wymyka się przyjętym definicjom, a własnej definicji nie podaje, zdaje się zresztą jednym z najważniejszych problemów dysertacji, rozpatruje go Autorka na różnych poziomach. Nawet podróż pisarza do Izraela nazywa „syjonistyczną”! W początkowych ustępach pracy nie ma prawie strony, na której nie pojawiłby się ten termin, rozumiany wszelako nie zawsze tak samo. Na s. 42 pisze Doktorantka o „powojennych założeniach syjonistycznych”, odnosząc to do ostatniej części *Autoportretu*. Ale syjonizm powojenny, zwłaszcza w rzeczywistości peerelowskiej, oznaczał diametralnie co innego niż syjonizm międzywojenny. W okolicach roku 1971, który Vogler traktuje jako *terminus ante quem* swojej opowieści autobiograficznej, syjonizm z pewnością był w PRL ciągle „żywym”

tematem. Wtedy jeszcze wielu Polaków używało dość neutralnej wcześniej kwalifikacji „syjonista” jako najcięższej obelgi, chcąc zdyskredytować „wroga” ojczyzny. Vogler nie mógł tego nie pamiętać, mimo to zachował daleko (za daleko) idącą wstrzeźliwość w komentarzu

Doktorantka słusznie konstatuje, że „nie można nazwać [Voglera] syjonistą”, wspiera tę tezę innymi kwalifikacjami: „półkomunista, zachwiany syjonista”, „syjonizm nie był mu obcy, aczkolwiek silnie utożsamiał się z komunizmem” (s. 45); nieco wcześniej stwierdza, iż Vogler dopiero w roku 1957 „po raz pierwszy chciałby utożsamić się z Żydami” (43), a przecież syjonizmowi poświęca pierwszy rozdział dysertacji poświęconej pisarstwu autobiograficznemu. Jest to niezrozumiałe założenie koncepcyjno-kompozycyjne. Podjęcie problemu stosunku do syjonizmu jako fundamentalnego byłoby uzasadnione wobec pisarza, twórcy, działacza, którego aktywność skierowana byłaby na tworzenie państwa żydowskiego bądź, po tym akcie, na działaniach jednoczących diasporę. A Vogler, czego dowodzą jego teksty, a także wywód Doktorantki w kolejnych fragmentach pracy, nie tylko nie wykazywał nadmiernej, by nie powiedzieć żadnej, w tej dziedzinie aktywności, ale miał istotne wątpliwości co do swojej żydowskiej tożsamości. Czy można więc w ogóle używać określenia „postawa syjonistyczna” Voglera, który izolował się od żydostwa? Twórca, który pochodził z niemal zasymilowanej rodziny żydowskiej, pisze raczej o ideowym „zagubieniu” albo zagubieniu w gąszczu idei (anarchizm, socjalizm, komunizm, syjonizm); o trudnościach z odnalezieniem własnego miejsca w skomplikowanej rzeczywistości II RP, co zrzuca na karb własnej pasywnej osobowości. Fundamentalna więc wydaje się kwestia tożsamości żydowskiej, od której należałoby zacząć refleksję badawczą, oraz akulturacji, a syjonizm pojawiłby się jako jeden z problemów i to chyba tych mniej istotnych. A skoro już mowa o II RP, trzeba zapytać o przyczyny stosowania zaskakująco „uczniowskich” określeń typu „przed wojną” (s. 28), odnoszących się do epoki międzywojennej, do kwestii stosunku Polaków do Żydów. W ciągu dwudziestu lat owej epoki stosunek ten bowiem był bardzo różny, „przed wojną” mówi bardzo niewiele.

Kwestia postawy Voglera wobec judaizmu, wobec żydowskości, fundamentalnego, jak sądzę, problemu pisarza pojawia się w pracy jako rozdział ostatni, choć powinna być zbadana wraz z problemem akulturacji jako pierwsza. W rozdziale tym potraktowana została właściwie raczej „po macoszemu”. Słowa te, paradoksalnie, nie stanowią zarzutu, dowodzą raczej uznania dla „głosu wewnętrznego” Doktorantki, który „zmusił” ją do omówienia tych kwestii wcześniej, bez wyodrębnienia ich w formie rozdziału, podrozdziału, etc. Dlatego

rozdział o judaizmie z perspektywy całości wydaje się jakby dopisany na siłę, złożony z opinii, refleksji, cytatów z części wcześniejszych. Pojawiają się, co prawda, w tym fragmencie pracy ważne kwestie wiary i poczucia tożsamości potraktowane jednak przez Autorkę, co niezmiernie zaskakuje, mało poważnie, raczej anegdotycznie. Jeżeli nawet takie podejście „przytrafia się” Voglerowi, to nie powinna tego robić badaczka jego twórczości. Jeżeli pisarz kwituje żydowskość szmoncesem, badaczowi nie wolno się tym kontentować. Nie wolno też, jak sądzę, poddawać się (podświadomie?) polskiej „aksjologii”, bo czy rzeczywiście Żyd „postępowy”, to Żyd zwolennik integracji ze społeczeństwem polskim? Warto podkreślić zasadniczą inność, przy podobieństwie, jeśli nie tożsamości problemowej, *Wyznania mojżeszowego* wobec I tomu *Autoportretu*, która dowodzi niewątpliwie ucieczki przed cenzurą, ale może także powrotu do żydostwa w ostatnich latach życia. W *Wyznaniu mojżeszowym* z całą pewnością pisze Żyd, podkreślający swoją żydowskość, w *Autoportrecie* żydostwo pojawiało się na planie znacznie bardziej odległym (s. 27). Vogler z *Autoportretu* i Vogler z *Wyznania mojżeszowego* to nie są bohaterowie tożsami. Lektura tych dwóch dzieł na pewno utrudnia próbę umieszczenia Voglera w dość arbitralnie wytyczonej siatce postaw Żydów polskich: od apoteozy judaizmu do jego całkowitego zanegowania. Ale czy uzasadnia tezę, że Vogler to „tożsamość ambiwalentna”? W rozdziale tym, dopiero na końcowych stronach pracy poświęconej pisarstwu autobiograficznemu!, pomieściła także Doktorantka rozważania na temat autobiografizmu. Wydaje się to kolejnym dowodem trudności nie tylko kompozycyjnych, ale także koncepcyjnych. Słuszne jest włączenie sprawozdania z lektury koncepcji autobiografizmu z żydowskością Voglera, dowodzi bowiem prymarnego jej miejsca w przestrzeni tej twórczości. Ale raczej od tych problemów Autorka winna całą dysertację rozpocząć. Ciekawe są w tym rozdziale refleksje na temat fotografii, inspiracji, „lalkowości”, teatralizacji rzeczywistości, niewiele jednak wnoszą one do kwestii żydowskości.

Prezentacja w rozdziale I idei politycznych, którymi fascynował się młody Vogler, wydaje się bardzo pobieżna. Byłbym gotów przyjąć taką postawę, gdyby owa pobieżność stanowiła odzwierciedlenie „letniości” politycznej młodego studenta, ale trudno wyciągnąć taki wniosek z wywodu Doktorantki, sądzę, że należałoby to uzupełnić. Zabrakło w pracy konstatacji, jak udawało się połączyć(?) Voglerowi idee anarchizmu, socjalizmu i komunizmu, a choćby jak z tego wybrnął. Kiedy już się jakieś próby pojawiają, to wydają się równie naiwne, jak tłumaczenie Voglera. Jak bowiem połączyć anarchistyczną ideę zniszczenia państwa z komunistycznym celem stworzenia państwa totalitarnego. Autorka nie

dostrzega tych sprzeczności, co więcej prowadzi to do niezrozumiałych konstatacji typu: „poprzez swobodne interpretowanie komunistycznych doktryny Kropotkina stały się swoistym nawoływaniem do anarchizmu” A czy bez komunizmu koncepcja Kropotkina miałaby inny charakter? Czy ta deklarowana fascynacja komunizmem nie była trybutem złożonym władzom, które zapewniły Voglerowi ważną pozycję w ówczesnym świecie literacko-artystycznym?

W rozdziale *Wobec komunizmu*, zdecydowanie najsłabszym merytorycznie, niepotrzebne wydają się zupełnie uwagi wstępne, w których Autorka próbuje na jednej stronie ująć „specyfikę” PRL i sytuację pisarza w kraju. W efekcie otrzymujemy dość wybiórczy, wręcz uczniowski obrazek. Wydaje się, że Autorka wykazuje duże trudności z rozróżnieniem kolejnych „etapów” dziejów PRL, o których pisze (137). Przytacza opinię Michała Głowińskiego na temat literatury tworzonej w Polsce w całym okresie komunistycznym i zestawia ją z sądami Voglera, który mówił zasadniczo (w cytowanych fragmentach) tylko o literaturze czasów stalinizmu. Podobną postawę przyjęła Doktorantka wobec krytycznej opinii Voglera na temat prac Wyki, pisanych w czasach socrealizmu. Można by uznać, że Autorka poddaje się pokusie zbyt łatwego ekstrapolowania rzeczywistości stalinowskiej na całość PRL, literatury socrealistycznej na całość powojennego piśmiennictwa krajowego. Tak dramatycznie źle przecież nie było. Trudno jednak wypracować jednoznaczną opinię o stosunku mgr Frymus do literatury krajowej i emigracyjnej. Jako świadectwo jej walki wewnętrznej, próby „rehabilitacji” pisarzy krajowych, można traktować zdanie: „jednak nie można założyć, że ci, którzy tworzyli poza granicami kraju, byli artystami wybitnymi” (134). Ale właśnie byli, choć pewnie nieliczni. Artyści wybitni tworzyli po obu stronach żelaznej kurtyny.

Zaskakuje teza o „neutralności” politycznej Voglera, która klóci się nie tylko z jego artykułowanymi wprost deklaracjami, ale i przynależnością partyjną, bo nie nosił „płaszczka Konrada Wallenroda”. Był członkiem PZPR (autorka czasem myli PPR z PZPR, a trudno przy takich pomyłkach pisać w ogóle o PRL), swoje wysokie funkcje zawdzięczał właśnie owej przynależności. Nie tyle więc chodzi o teksty, ile o samą postawę akceptacji, poddanie się zniewoleniu, które według niego zniewoleniem nie było. Sądzę, iż w próbach zdefiniowania postaw intelektualistów nie „hańba domowa”, do której odwołuje się Doktorantka, jest określeniem najbardziej adekwatnym, ale właśnie „zniewolenie umysłu”. Trzeba zrozumieć Voglera, któremu ocalenie przyniosła armia sowiecka (pisali o tym Strykowski, Grynberg). Ale nie był w owych latach niedojrzały; był, co Autorka słusznie

podkreśla, z pokolenia 1910, o całą generację (bo w tej epoce nie metrykalne dane decydowały o przynależności generacyjnej) starszego od „pryszczatych”. Jako przedstawiciele pokolenia 1910 mgr Frymus wskazuje Bolesława Micińskiego, Czesława Miłosza, Władysława Szpilmana. Zabrakło jednak głębszej refleksji, co łączy Voglera z rówieśnikami, czy chodzi o bliskość losów, podobieństwo wyborów politycznych? Czasem pojawiają się (s. 17 i 18) zupełnie przeciwstawne tezy. A przecież kategoria „pokolenia” takie możliwości stwarzała. Ważny tu był jednak dobór „współpokoleniowców”. Miciński dawał niewiele, idealnie natomiast wpisywał się we wspólnotę doświadczeń Adolf Rudnicki, który zginął z horyzontu Autorki, też rówieśnik Voglera. Wydaje się on najbliższy zarówno od strony biograficznej, jak i twórczej, zmagał się z problemem żydowskości i judaizmu, komunizmu, okupacji sowieckiej we Lwowie, ale, co najważniejsze, podjął próbę zmierzenia się z „wielkim tematem”, wysiłek opisanie „epoki pieców”.

Doktorantka próbuje uczynić z Voglera, wbrew niemu samemu, „opozycjonistę”. Chyba tylko w ten sposób można wytłumaczyć zupełnie niezrozumiałe zdanie, że „Życie Literackie”, stworzone dzięki PZPR, a inaczej być nie mogło, „starło się utrzymać chociażby pozory krytyki i publicystyki antysocjalistycznej”, które świadczy o nikłej wiedzy na temat rzeczywistości komunistycznej w Polsce albo o jej bagatelizowaniu. Vogler w *Autoportrecie* wspomina tylko, że próbował w piśmie tworzyć krytykę w duchu Kleinera, czyli próbował wyrwać się ze szponów „wulgarnego marksizmu”, walczącego z wszelakimi „formalizmami” w sztuce. Bardzo stąd daleko do „publicystyki antysocjalistycznej”; brakuje zresztą refleksji, na ile owe próby się powiodły. I nie wystarczy zaufać w tej mierze Voglerowi. Potrzebna byłaby dokładna lektura tekstów krytycznych „przemytynika”, powiązana z uwzględnieniem znaczenia koncepcji teoretycznoliterackich Kleinera w pracy krytycznej Voglera. Tylko silna wiara w znaczenie literatury, może nawet jej nad-znaczenie (a raczej nieznanomość realiów) podpowiedziało Autorce, że „teoretycznie literaci nie popierali hasel nowej władzy, w praktyce jednak musieli zostać przez tę władzę zaakceptowani” (144). Czyli to władza akceptowała „nieprawomyślnych”, a nie pisarze władzę?! Takich kuriozalnych opinii można by przytoczyć znacznie więcej, ale zamknę tę „komunistyczną” sekwencję jedną ważną uwagą, ważną zwłaszcza w pracy o pisarstwie autobiograficznym: otóż w rekonstrukcji portretu wewnętrznego Voglera, jego ocen współczesności nie uwzględniła Doktorantka czysto ludzkiego aspektu, egoistycznych prób „równania rachunków”, złośliwości i zazdrości. Ujawniła się ona już w jednowymiarowych sądach o Wyce. Jeszcze bardziej o Strykowski, którego pod koniec lat siedemdziesiątych nazwał Vogler „ortodoksyjnym marksistą-

leninistą”. Pisał te słowa aktywny członek PZPR o twórcy, który zerwał z Partią w roku 1966. ponad dziesięć lat wcześniej. Tu komentarz nie tylko jest potrzebny, ale absolutnie niezbędny. Miał prawo Vogler dać upust swojej złośliwości, choć to nie świadczy najlepiej o jego obiektywizmie, ale badacz ma obowiązek te sądy weryfikować.

W refleksji nad aktywnością krytyczną Voglera najważniejszym zadaniem badacza, jak się zdaje, powinno być wykazanie, co udało się pisarzowi „przemycić”, w jaki sposób realizował swój status „przemytznika”, czy jego założenia formułowane ex-post znalazły potwierdzenie w praktyce krytycznej. Muszę z satysfakcją przyznać, iż rozdział na temat działalności krytycznoliterackiej, wnosi wiele ciekawych spostrzeżeń, aczkolwiek brakuje dyskusji z krytykiem. Doktorantka zbyt często afirmatywnie przyjmuje jego sądy. Nie ukrywa uznania, choć przy okazji obdarza twórcę dość wątpliwym komplementem „profesjonalnego sykofanta”, który chyba nie zadowoliliby Autora. Nadmierna sumienność sprawozdawcza uniemożliwiła chyba Doktorantce zatrzymanie się nad najważniejszym osiągnięciem krytycznym Voglera, czyli książką o Różewiczu. Prawdziwą „góre” przesłoniły „pagórki”. Czytelnik nie dowie się wiele, co ta praca mówi o Voglerze, co ważnego wnosi zwłaszcza w zestawieniu jej z pracą Burkota. A byłaby to ważna refleksja.

Dużą odwagę wykazuje Doktorantka w rozdziale poświęconym Zagładzie, pisze bowiem o Holocaustach różnych nacji (plan likwidacji kilku narodów, s. 80), ale nie zgadzam się na konstatację typu „polityka III Rzeszy dążyła do unicestwienia kilku narodów, do których zaliczali się również Żydzi” (30). Tak pisać nie można, zwłaszcza w pracy o pisarzu, który był ofiarą Holocaustu. Nie ustrzegła się jednak Doktorantka niekonsekwencji, za najbardziej trafną definicję Szoa traktując definicję Terence’a Des Pressa, w której pojawia się postulat traktowania Holocaustu jako „wydarzenia odrębnego, wręcz świętego”. Tu przydałoby się także uwzględnienie refleksji Alaina Besançona z *Przekleństwa wieku. O komunizmie, narodowym socjalizmie i jedyności Zagłady*. Trudności z genologicznym doprecyzowaniem tekstów Voglera skłoniły Autorkę do odważnej propozycji własnej klasyfikacji pisarstwa Holocaustu. Teksty Voglera traktuje jako „historyczno-beletrystyczne” lub „autobiograficzno-fikcyjne”. Tezy te domagają się dopracowania, brakuje w nich większej ścisłości i konsekwencji w praktyce interpretacyjnej. Niemniej sama próba zasługuje na pochwałę. Ich zastosowanie pomogłoby głębiej odczytać opowiadania z tomu *Ocalony z otchłani*. Nie jest to bowiem zbiór wspomnień obozowych, po lekturze *Autoportretu* wyraźnie widoczne są zabiegi fikcjonalizujące. Powstrzymałoby także przed zaskakującym utożsamianiem płaszczyzny doświadczenia, wspomnienia i narracji, przed dezynwolturą w określaniu statusu

narratora. Autorka bez wahania powiada: Bohater – pisarz – Vogler. Owa tendencja ujawnia się zresztą także w interpretacji powieści *Nieobecni są winni*, kiedy Doktorantka bardzo łatwo i niebezpiecznie przechodzi z płaszczyzny fikcji powieściowej na płaszczyznę biografii pisarza (czasem nawet w jednym zdaniu). Podobnie jest w refleksji nad powieścią *Człowiek, który śnił*. Próby zbyt dosłownego czytania ujawniają się również w interpretacji poezji Voglera i prowadzą do odzierania jej z poetyckości, wieloznaczności (Itaka nie musi być Krakowem, a „wiatrem” naziści). Dobre intuicje, a nawet ciekawe próby interpretacyjne niweluje zupełnie niepotrzebna dosłowność. Ale bardzo sugestywna i inspirująca interpretacja *Śmierci w obozie* dowodzi, że Doktorantka potrafi pisać inaczej. Lektura całości rozdziału w dużym sposób neutralizuje irytację niedoskonałościami języka.

Zamykając część krytyczną recenzji, muszę zwrócić uwagę na zbyt często ujawniające się kłopoty ze skonstruowaniem poprawnych zdań, które oddawałyby w pełni myśl Autorki. Zbyt często zdarza się, iż „słowa myślom kłamią”. Czasem wywód przypomina „strumień świadomości”, chaos interpretacyjny skłania do posądzeń Autorki o problemy z dyscypliną myślowo-kompozycyjną. Doktorantka stosuje duże skróty myślowe, prowadzące do niezrozumienia wywodu, a może zrozumienia opacznego, a jednocześnie wykazuje skłonność do irytujących powtórzeń, choć może widzieć w tym należałoby jakąś nieuświadomioną próbę udowodnienia sobie raz postawionej tezy. Nierzadko pojawiają się konstatacje oczywistości pozornej, która jednak prosi się o refleksję głębszą. Równie częsty jest brak precyzji, zdarzają się Autorce „ucieczki” w zaimki nieokreślone („czegoś”, „coś”), które świadczą o próbie wymknięcia z trudności interpretacyjnych: „pisze o judaizmie jako o czymś, czego nie zdołał wykorzystać”. Trudności owe często wynikają, jak sądzę, z niedostatków w umiejętnościach wykorzystania instrumentów poetyki. Trzeba także stwierdzić dużo przeoczeń, pomyłek, „drzemek Homera”, np. Vogler „doskonale znalazł chociażby hebrajski czy jidysz”, choć wcześniej cytowany jest jego list do Różewicza, w którym pisał, że nie zna tego języka. Pojawiają się irytujące, wprowadzające w błąd skróty: pismo, którym kierował Vogler to było „Życie Literackie”, a nie „Życie”, jak wielokrotnie pisze Autorka; opowiadanie pisarza (dwukrotnie nazwane powieścią) nosi tytuł nie *Fizjologia strachu*, ale *Wstęp do fizjologii strachu*; podobnie niedokładny tytuł dramatu Różewicza *Spaghetti i miecz*, Autorka podaje tylko *Spaghetti* (171). Są i inne drobiazgi: przypisanie starszeństwa Micińskiemu nad Przybyszewskim; ONZ w roku 1937; Herling jako krytyk literacki w Polsce (155). Ale, bądźmy sprawiedliwi, równie często znaleźć można w pracy fragmenty bardzo interesujące, napisane polszczyzną nie tylko poprawną, ale z wyraźną

swadą językową, ocierającą się o język literacki. Może więc te nieporadności wyniknęły z nadmiernego pośpiechu, nieuważności?

Skupiłem się w recenzji, taka to powinność, na wskazywaniu uchybień, braków, na stawianiu pytań, co jednak nie oznacza, iż nie dostrzegam pozytywów. Z dużym uznaniem trzeba odnieść się do lektur Doktorantki, jej znajomości literatury. Godna pochwały jest rzetelność w sięganiu do opracowań historycznych, historycznoliterackich jako dobrych, interesujących kontekstów. Ich repertuar pozytywnie zdumiewa. Autorka sięgnęła nawet do opracowań na temat Różewiczowskiego Radomska. Godne podkreślenia jest wzbogacenie materiału o rozmowy z wdową po pisarzu, co szczególnie ważne, gdy temat dotyczy kwestii autobiograficznych. Aczkolwiek czasem można dostrzec negatywne konsekwencje erudycji, bo nadmiar przywoływanego materiału uniemożliwia wyartykułowanie prostego wniosku. Warto też zapytać, po co przypominać broszurę „marcową” Tadeusza Walichnowskiego, nobilitując ją wartościami poznawczymi? Wnosi ona niewiele do próby naukowej refleksji nad syjonizmem, co najwyżej jako dowód polskiej hańby. To tak jakby sięgać do *Literatury malej emigracji* Witolda Fillera w poszukiwaniu informacji o twórczości Herlinga-Grudzińskiego bądź Józefa Mackiewicza.

Podziwiam odwagę polemiki Doktorantki, która nie obawia się podjąć dyskusji, może nawet sporu z badaczami (Anną Landau-Czajką, Jackiem Leociakiem), których prace stanowią metodologiczny fundament nie tylko jej refleksji, ale badań nad Holocaustem w ogóle. Ciekawy z tej perspektywy wydaje się spór z Leociakiem, może nawet zakwestionowanie jego tezy o znaczeniu dwu perspektyw, wewnętrznej i zewnętrznej, w pisaniu o Holocauście (s. 84). Towarzyszy temu odwaga formułowania własnych koncepcji, często sprzecznych z opiniami autorytetów naukowych. Ujawnia się owa tendencja zwłaszcza w trakcie analizy autobiograficzności *Autoportretu*.

Kładę na szalach wszystkie uchybienia, błędy, niedociągnięcia, ale także niemałe, aczkolwiek pominięte przeze mnie w szczegółowym omówieniu, osiągnięcia dysertacji mgr Urszuli Frymus, do których przede wszystkim zaliczam świetny pomysł wyjścia w pracy badawczej poza kanoniczny repertuar nazwisk, próbę ogarnięcia „całości”, czyli wysiłek monograficznego w istocie ujęcia „życia i twórczości” Henryka Voglera, erudycję, zwłaszcza w zakresie judaistycznym, imponującą bibliografię. Doktorantka podjęła zagadnienia wymagające niemałej wiedzy historyczno- i teoretycznoliterackiej, historycznej, politologicznej, także wiedzy z zakresu historii idei. Wykazała się kompetencjami

wielorakimi: czytelnika, interpretatora poezji, prozy, krytyki artystycznej, znawcy ruchów i idei politycznych, historyka epoki najnowszej. Z pewnością nie z każdej roli wywiązała się jednakowo dobrze, ale zawsze w sposób wystarczający. Dysertacja dowodzi, że postać autora i jego twórczość naprawdę fascynują Doktorantkę, że naprawdę zależy jej na przywróceniu/wprowadzeniu „jakiegoś” Voglera do „krwioobiegu” historycznoliterackiego. Z jej pracy wylania się Vogler pamiętnikarz, prozaik i poeta, krytyk, ale także redaktor, działacz polityczny. By dokonać aktu przywrócenia, konieczne jest jednak takie rozłożenie akcentów, które pokaże przede wszystkim Voglera-pisarza, które unaoczní mocne i słabe strony jego twórczości. Na razie tego zabrakło. Pojawia się myśl, że zebrany został materiał na dobrą książkę, ale niezbędne jest dokonanie w pracy korekt: od najmniej istotnej, i najłatwiejszej do poprawy, warstwy składniowo-interpunkcyjnej aż po poziom koncepcyjno-strukturalny. I ta myśl przechyla szalę na stronę akceptacji.

Reasumując, stwierdzam, iż rozprawa doktorska mgr Urszuli Frymus zawiera dobrze sformułowany i zrealizowany cel poznawczy oraz wiele wartościowych tez i wniosków, pozwalających zrozumieć twórczość autora *Ocalonego z otchłani*. Uważam w związku z tym, że rozprawa spełnia wymogi ustawy o tytule i stopniach naukach w zakresie odnoszącym się do stopnia naukowego doktora. I wnoszę o dopuszczenie mgr Urszuli Frymus do dalszych etapów przewodu doktorskiego.

